

Konferencja pod patronatem Prezydenta
m. Krakowa Józefa Lassoty

**MŁODZIEŻ W OKRESIE
ZASADNICZYCH PRZEMIAN
SPOŁECZNYCH/JUGENDLICHE IN
DER ZEIT GRUNDLEGENDER
GESELLSCHAFTLICHER
VERÄNDERUNGEN**

V Konferencja Kraków-Bethel
V Kraków-Bethel Konferenz

KRAKÓW, 17 - 19 V 1995

Z PERSPEKTYWY MŁODZIEŻY

**AUS DER PERSPEKTIVE DER
JUGENDLICHEN**

MAGDALENA SCHLEEGER

(Ponowne) zbliżenie z Polską*

Tematem tego zeszytu „Dialogu” jest „Młdzież” w Niemczech i Polsce. Ponieważ jestem po czterdziestce, już sam ten fakt dyskwalifikuje mnie wobec tego tematu. Dlaczego mimo to jednak piszę: znam Polskę, część Polski, od czasu mojej młodości, od dwudziestu lat. Nie z pozycji tu urodzonej, osoby wypędzonej czy wysiedlonej, tylko z czystej ciekawości.

Nie miałam tu krewnych, nie miałam znajomych, tylko wtedy, jako studentka zapragnęłam w czasie wakacji jeździć konno, a w grę wchodziły tylko trzy kraje: Hiszpania, Polska i Węgry. Hiszpania - pod panowaniem Franko -, moje naiwne i wzruszające ideały młodości nie pozwoliły mi tam pojechać, do Hiszpanii frankistowskiej nie chciałam pojechać, nawet wbrew wyobrażeniom o tym, jak pięknie mogłoby być na koniach w Andaluzji. Pozostała więc Polska i Węgry, i tu - niech Węgry mi to wybaczą - zdecydował wypadek.

Wybrałam z prospektu - dwa tygodnie w Polsce, tydzień w stadninie, tydzień nad morzem w Sopocie, to miało być to. Długie terminy oczekiwania na wizę, formalności, i wreszcie - to musiało chyba być lato 1973 - nastąpił ten moment: pociągiem do Starogardu Gdańskiego, tam tydzień jazdy na wspaniałych ogierach i całkiem nowe doświadczenie, że czteroletnie polskie ogiery nie lubią być popędzane, tylko przede wszystkim trzymane krótko w cu-

glach, wspomnienia spotkań przy ognisku, pierwsze zbliżenie z Polską: dlaczego mówi Polacy znają tak dużo ludowych piosenek a my Niemcy nie?

Drugi tydzień to spotkanie z historią, przeszłością, również z ochroną zabytków: w Niemczech szalała w tym czasie gorączka budowy, tzw. okres modernizmu - Polacy odrestaurowali Gdańsk z takim autentyzmem i pieczołowitością, jak gdyby tylko przez ochronę zabytków umieli wyrazić się.

Do domu wyjechałam zabierając z sobą zamęt i trochę fascynacji. Nastąpiły pierwsze listowne przyjaźnie, porozumiewaliśmy się po angielsku lub po niemiecku, naturalnie nie po polsku.

Następnego lata listowne przyjaźnie zostały odnowione - tym razem na Mazurach: pływanie, żeglowanie, zbieranie grzybów, wpływanie łódką w tataraki, oddawanie się boskiemu lenistwu, jak powiedziałyby moja matka w Bawarii. Mimo to również tutaj - podróż w przeszłość: Wilczy Szaniec w Kętrzynie, gdzieś na którymś z mazurskich jezior kołysał się jacht któregoś z nazistowskich dygnitarzy (może Himmlera?), przypomniał mi się pamiętnik Marion Dönhoff „Konno przez Mazury”, fascynująca okolica, nad podzielonymi Prusami Wschodnimi przynajmniej niepodzielone niebo.

Wszystko to były podróże organizowane przez studenckie biuro podróży, natu-

ralnie jeszcze bez „Jugendwerku”, bez programów wymiany, bez dofinansowania. Mimo to czułam się bogato obdarowana.

Wtedy już - a więc latem 1974 - chciałam zaprosić do siebie do Niemiec przyjaciółkę. Na początek poniosłyśmy klęskę: musiała mieć konto dewizowe w Polsce lub zaproszenie od osoby prywatnej, aby w ogóle otrzymać polski paszport. Na zaproszeniu musiało stać czarno na białym, że wszystko jest zabezpieczone: nie tylko potrzeby materialne ale również wszystkie koszty choroby itd. Z dużym wyprzedzeniem i pewną rozważą przedsięwzięcie musiało - niestety - zostać przesunięte na przyszły rok; musiałam do zaproszenia przekonać matkę, bo kto uwierzy studentce, że może zabezpieczyć potrzeby innej studentki, albo: również konto dewizowe w Polsce musiało dopiero zostać założone i wypełnione.

Jakoś się to wszystko przeciągało. W 1975 znów byłam w Polsce a moja przyjaciółka ciągle jeszcze nie była w Niemczech. W jakiś sposób - przynajmniej dla mnie - był to też rodzaj sportowej ambicji: sprawdzić, czy uda się zdobyć paszport dla studentki germanistyki z Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej? I wreszcie udało się - ta wymiana młodzieży na tym skromnym poziomie minimalnym: odebrałam z lotniska przyjaciółkę ze świeżo wydrukowanym paszportem. Dziś jeszcze opowiada, że dokładnie pamięta wszystko: zapach lotniska, panujący ruch, i pierwsze chwile: ja muszę przyznać, że wszystko to zapomniałam.

Wielkim wysiłkiem (i, sądzą, chyba legalnymi środkami, poprzez urząd pracy) udało się także znaleźć dla mojej przyjaciółki pracę dla studentów: ostatecznie należało uzupełnić konto z myślą o przyszłym roku i kolejnej podróży. Moja przyjaciółka została pomocą w ekskluzywnym domu starców: roznosiła posiłki, była dla starszych państwa „pod ręką”, konwersowała - w jej całkowicie kulturowanym niemieckim - ze starszymi paniami ze szlach-

ty. Pamiętam, że Iwona przynosiła wieczorem do naszej studenckiej budy całkiem nowe tematy: otóż pewna starsza szlachcianka wyjaśniła jej, jakoby Burbon nie mógł panować na tronie hiszpańskim! Najczęściej przynosiła też coś do domu na kolację z wcale udanej kuchni domu starców.

To również musiało przydarzyć się w tym samym czasie, że nagle zapragnęłam sprawdzić, czy możliwe jest nauczanie się polskiego: odbyłam podstawowy kurs polskiego na uniwersytecie w Konstancji. Mieściliśmy się bez trudu - my, to znaczy trzej czy czterej studenci - w pokoju asystenta i uczyliśmy się - wtedy jeszcze z ernerowskiego podręcznika: pamiętam dokładnie, że pałac kultury nazywany był tam jako „wspaniały dar” Związku Radzieckiego... Mimo to zawładnęła mną ambicja, chciałam teraz umieć porozumieć się z młodymi Polakami, starszymi Polakami, z ojcem mojej przyjaciółki.

Chciałam wiedzieć, dlaczego jako czternastolatek był w partyzantce, chciałam wiedzieć, dlaczego jako szesnastolatek uczestniczył w powstaniu warszawskim, jeszcze dziecko i już żołnierz kompanii, dlaczego w jego mieszkaniu leżały wszędzie ordery, i jaka jest różnica między „Armią Krajową” a „Armią Ludową”. Chciałam wiedzieć dlaczego - chociaż jego rodziców zamordowali naziści - jest tak przyjaźnie nastawiony wobec Niemców.

Dzisiaj nie wiem już, ile z tego wtedy rozumiałam. Faktem jest, że podróżowałyśmy w tę i z powrotem. Ja - naturalnie z wizą i dokonaną przedtem przymusową wymianą. Iwona na zaproszenie lub na podstawie ciągle uzupełnianego konta. Spoglądając wstecz uważam to za całkiem udaną formę wymiany młodzieży, a jeżeli wierzyć kierownictwu Polsko-Niemieckiej Wymiany Młodzieży, jest ona nawet podstawową „formą bazową wymiany młodzieży, mianowicie między rodzinami”.

Tak więc w latach 1973-1978 dziesięć razy odwiedzałam Polskę: poznawałam okolice - od morza na północy przez aleje Prus Wschodnich po targowisko na rzymsku w okolicy Chełma na krańcu Polski, od jazdy na nartach w Tatrach i w Karkonoszach aż do Zamościa i znów do stadniny koni. I naturalnie przemyslenia o Majdanku i Oświęcimiu.

To prowadzi do pytania: jeśli wszystko - nawet w socjalizmie - udawało się dzięki osobistemu zaangażowaniu, czy potrzebna jest wymiana młodzieży w dzisiejszej formie? Czy potrzeba zorganizowanych letnich obozów kempingowych, warsztatów teatralnych w Domu Spotkań Młodzieży w Krzyżowej, wakacji konnych w Janowie Lubelskim, a wszystko dobrze przemyślane, na wskroś zorganizowane i dofinansowane?

Bez wyjątków uważam, że tak. Przede wszystkim wtedy, jeżeli wymiana objąć ma wszystkie warstwy społeczeństwa, jeżeli nie wyklucza młodzieży w gorszej sytuacji i ma przenikać do coraz szerszych warstw. Jeżeli polska i niemiecka młodzież - wprawdzie dużym nakładem finansowym i organizacyjnym - wspólnie przebudowuje i remontuje pociąg, który jeździ teraz po torach Europy jako „Train d'Europe” i może być wypożyczany jako wagon konferencyjny - to wymiany młodzieży doświadczają już nie tylko studenci i maturzyści, ale cała młodzież.

W tym miejscu muszę zrobić wyznaczenie - przed dwudziestu laty to nie było jeszcze tak. Tym samym odczuwam z własnej obserwacji, jak Polska i Niemcy

zrastają się. Zapewne młodzież dzisiaj w ogóle nie zna już słowa „obowiązkowa wymiana” - czy jest właściwie coś piękniejszego od tego rodzaju niewiedzy? Od tego widocznego dowodu, że postęp, przynajmniej w niektórych dziedzinach życia - nie jest ślimaczy?

W tym miejscu twardy powrót do teraźniejszości: tak się złożyło, że przez 17 lat nie jeździłam do Polski: praca zawodowa, rodzina, subtelny splot, który ma pogodzić jedno z drugim - w Niemczech nazywamy to podwójnym obciążeniem. Przez długi czas nie chciałam też więcej jeździć do Polski.

Teraz - a przypadki nie istnieją - znów jestem tutaj. Pracuję w Polsce! Próbuję odnaleźć się w Polsce po przełomie. Polska - to znaczy teraz również: fast-food na każdym rogu, gospodarka rynkowa aż do manczesteryzmu, interesująca prasa, sport polityczny, umacniająca się demokracja. Ale właśnie także i przede wszystkim: młodzi ludzie, spotykający się z młodymi ludźmi z całego świata w sposób zorganizowany lub na własną rękę, którzy podróżują, przywożą nowe doświadczenia, nowych przyjaciół, bez wizy, konta dewizowego czy wymiany obowiązkowej.

Ostatnie ujęcie, ponad pokoleniami: gdy moja córka ze swoim chłopakiem po raz pierwszy przyjechała do Polski (Wielkanoc 1996, pociągiem), wysiedli wieczorem na warszawskim dworcu centralnym, jako pierwszy ujrzeli rozświetlony Pałac Kultury w jego przyprawiającej o dreszcz urodzie i powieździeli, głęboko zdziwieni: „Mamo, tu wygląda jak w Nowym Yorku!”

MAGDALENA SCHLEEEGER

(Wieder-) Annäherungen an Polen

Diese Ausgabe der Zeitschrift „Dialog“ thematisiert die „Jugend“ in Deutschland und Polen. Da ich oberhalb der Vierzig bin, habe ich mich für dieses Thema bereits disqualifiziert. Warum ich trotzdem weiter-schreibe: Ich kenne Polen, Teile Polens seit meiner Jugend, seit über 20 Jahren. Nicht aus der Warte der hier Geborenen, der Warte von Vertriebenen und Aussiedlern, der Heimattouristen, sondern aus reiner Neugier:

Keine Verwandten, keine Bekannten hatte ich hier, nur reiten wollte ich im Urlaub, damals, als Studentin, und drei europäische Länder fielen mir dabei ein: Spanien, Polen und Ungarn. Spanien - dort herrschte damals Franco: Meine naiven und rührenden Jugendideale ließen es nicht zu, dorthin zu reisen. In das Spanien Francos, so schön ich mir das auf den Pferden Andalusiens vorstellte, wollte ich nicht. Blieben also Polen und Ungarn, und hier entschied - Ungarn möge es verzeihen - der Zufall:

Ich entschied mich nach einem Reise-prospekt - zwei Wochen Polen, eine auf einem Gestüt, die andere am Meer bei Zoppot, das mußte es sein. Lange Voraus- fristen für Visum und Formalien, aber dann war es - es muß wohl Sommer 1973 ge-wesen sein - so weit: Mit dem Zug nach Starogard Gdański, dort eine Woche auf herrlichen Hengsten reiten, die ganz neue

Erfahrung, daß vierjährige polnische Hengste nicht angetrieben, sondern vor allem gehalten werden wollen, Lagerfe-ererinnerungen, erste Annäherung an Po-len: Warum können junge Polen so viele Volkslieder und wir Deutschen nicht?

Zweite Woche - Begegnung mit Histo-rie, Vergangenheit, auch Denkmalschutz: In Deutschland graassierte zu dieser Zeit das Baufieber, die sogenannte Moderne - die Polen hatten authentisch, liebevoll Danzig restauriert, als ob nur sie Denkmal-schutz buchstabieren könnten.

Verwirrt und einigermaßen fasziniert fuhr ich nach dieser Zeit heim. Erste Brief-freundschaften hatten sich eingestellt, wir kommunizierten, entweder in Englisch oder Deutsch, natürlich nicht in Polnisch.

Im nächsten Sommer wurden die Brief-freundschaften aufgefrischt - diesmal in Masuren: Schwimmen, Segeln, das Boot ins Schilf lenken, Pilze suchen, den lieben Herrgott einen guten Mann sein lassen, wie meine Mutter in Bayern sagen würde. Trotzdem - auch hier die Reise in die Ver-gangenheit: Die Wolfsschanze bei Rasten-burg, irgendwo auf einem der Masurischen Seen dümpelte noch die Jacht einer NS-Größe (war es Himmler?), Marion Dön-hoffs Tagebuch „Ritt durch Masuren“ kam mir in den Sinn, faszinierende Landschaft, über dem geteilten Ostpreußen wenig-stens ein ungeteilter Himmel.